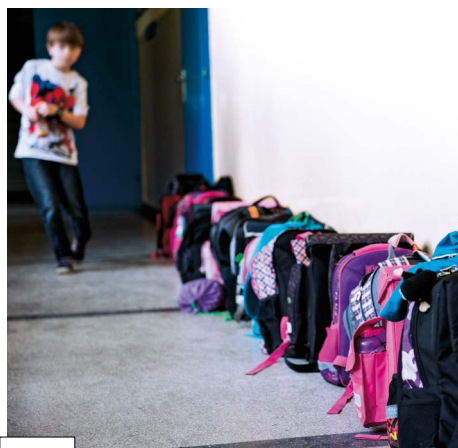




16 Dzieci płacą
za szkolne błędy



44 Sześć lekcji
z Syrii



72 Do czego
służą te liderki?

Tematy tygodnia

- 12 Anna Dąbrowska, Wojciech Szacki
Bałagan u prezydenta
16 Joanna Cieśla
**Uczniowie
w zdeformowanej szkole**

Polityka

- 19 Sławomir Sierakowski
Plan Biedronia
22 Martyna Bunda
O spoliczkowanej i policzkującej
24 Violetta Krasnowska
Takich sędziów chce PiS w SN
26 Joanna Solska
Afera FOZZ do odgrzania
28 Edwin Bendyk
Samorządowa stawka

Społeczeństwo

- 32 Ryszarda Socha
**Uzdrowisko:
bardziej szpital czy spa?**
36 Piotr Pytlakowski
**Jak wojewoda Czarnek walczy
z ukraińskim nacjonalizmem**

Rynek

- 38 Cezary Kowanda
**Dłaczego zarówno halogenowe
znikają ze sklepów**

- 40 Witold M. Orłowski
10 lat po Lehman Brothers

Świat

- 44 Patrycja Sasnał SYRIA
Najkrwawsza wojna tego stulecia
48 Łukasz Wójcik USA
Czego chcemy od Ameryki?
51 Ziemowit Szczerek KOSOWO–SERBIA
Niebezpieczna zmiana granic

Historia

- 54 Sławomir Leśniewski
Jak Jan Kazimierz rzekł się tronu
58 Adam Krzemiński **100 lat Austrii**
61 Tomasz Targański
**Droga do porozumienia
w Camp David**

Nauka

- 64 Wojciech Mikołuszko
Długowieczny golec
68 Młodzi wybitni – czyli zwycięzcy
Nagród Naukowych POLITYKI
70 Przemek Berg
Co uderza w Ziemię

Ludzie i style

- 72 Marcin Piątek
**Czirliderki
walczą ze stereotypami**

- 75 Aleksandra Żelaźńska
Deepfakes – gorsze niż fake news

Kultura

- 82 Aneta Kyzioł
Politycy zainteresowali się kulturą
85 Tomasz Plata
Queer artyści
88 Rozmowa z reż. **Matteo Garrone**
o włoskim Dzikim Zachodzie
i władzy, która zastrasza
z potrzeby kontroli
90 Piotr Sarzyński
**Polska wizja na londyńskim
biennale designu**
93 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
94 KAWIARNIA LITERACKA
Renata Lis

Na własne oczy

- 100 Marcin Kołodziejczyk
fotografie Stanisław Ciok
Bardzo wschodnia granica

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
• 6 Ludzie i wydarzenia • 42 Przegląd
informacji rynkowych • 78 Afisz
• 95 Chutnik i Plebanek • 96 Stomma
• 97 Passent • 98 Do i od redakcji
• 99 Fusy • 106 Polityka i obyczaj

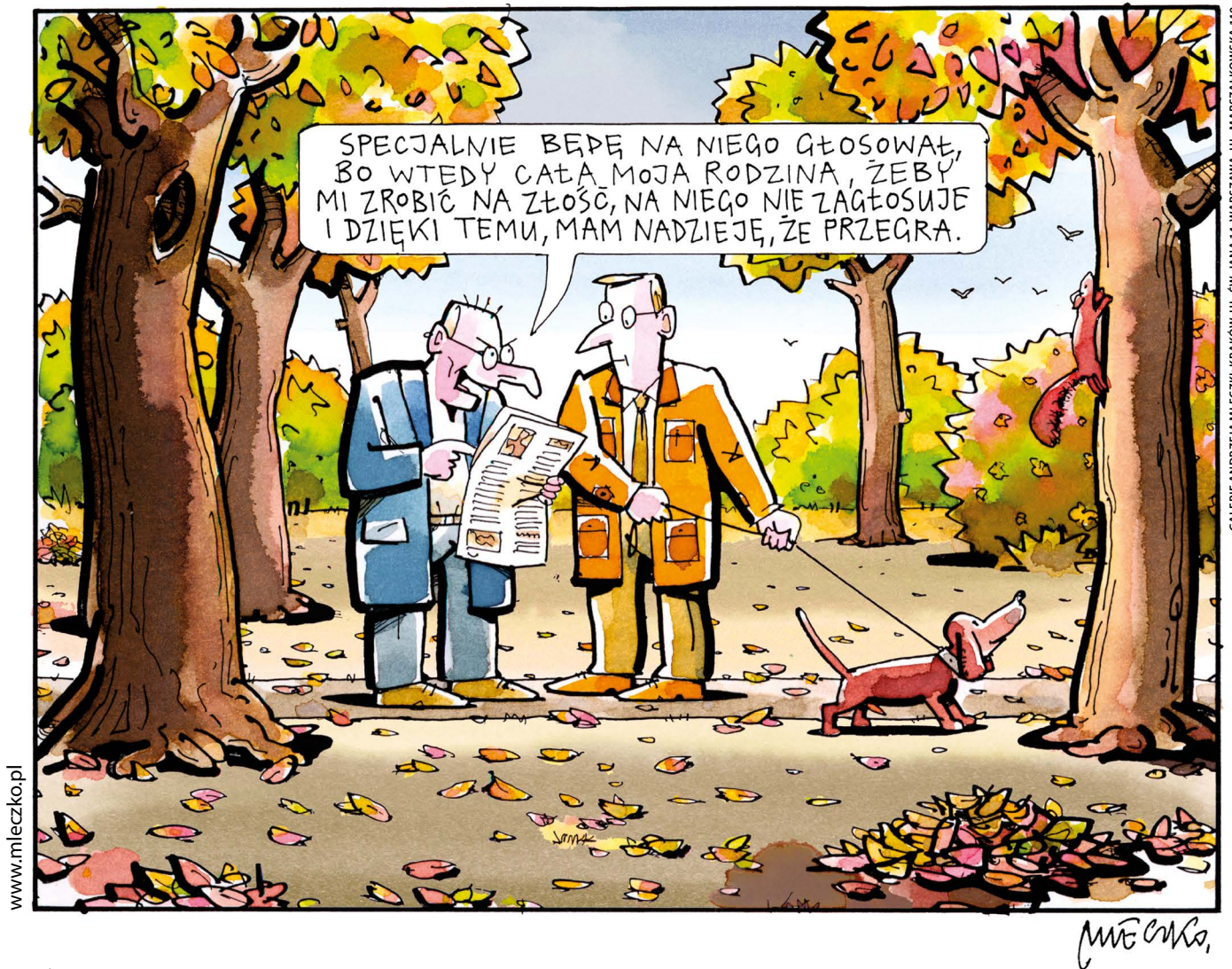
PRENUMERATA PAKIETOWA

Drodzy Czytelnicy, docierają do nas sygnały o problemach z nabyciem POLITYKI w kioskach i punktach sprzedaży obsługiwanych przez Ruch SA. Sytuacja ma dotyczyć głównie mniejszych miejscowości. Jeśli spotkali się Państwo z taką sytuacją, prosimy o sygnał na adres dystribucja@polityka.pl lub o kontakt telefoniczny 22 451 61 65.

Dla wszystkich tych z Państwa, którzy mieli problemy z zakupem POLITYKI, przygotowaliśmy specjalną ofertę prenumeraty pakietowej.

To gwarancja otrzymania zarówno każdego drukowanego wydania POLITYKI, jak również dostępu do jego wersji cyfrowej już od wtorkowego popołudnia.

Więcej informacji na s. 67.



GALERIE ANDRZEJA MLECZKA: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

Z ŻYCIA SFER

Merytorycznie w głąb i wzdłuż

Gorąco przyklasnąć należy wezwaniu, by w trakcie toczącej się kampanii przed wyborami samorządowymi, a także wszystkich innych kampanii, nie ograniczać się do jałowych ataków na władzę, pustych sloganów i czczych obietnic. Przedwyborcza debata powinna być merytoryczna, dotyczyć konkretnych spraw i projektów, w jej centrum powinien znajdować się człowiek, ewentualnie jakaś większa grupa ludzi.

Weźmy projekt przekopania Mierzei Wiślanej. Z pewnością zasługuje on na merytoryczną dyskusję. Co prawda eksperci od transportu, gospodarki morskiej i ekologii są zgodni, że przekopywanie Mierzei nie ma sensu. Ale świadczy to tylko o tym, że stosowane przez nich kryteria sensowności są zbyt płytkie i wąskie. Nie bierze się w nich pod uwagę wielu czynników naprawdę decydujących. Jeśli debata ma doprowadzić do pożądanego rezultatu, kryteria trzeba poszerzyć i pogłębić.

Po pierwsze, należy wziąć pod uwagę, że obecna władza, w odróżnieniu od wszystkich poprzednich, dotrzymuje obietnic. Jak powiedziała, że przekopie, to przekopie. Nie ma więc sensu dyskusowanie, czy kopać, a tylko, kiedy kopać. Już teraz czy ewentualnie trochę później.

Po drugie, władza podkreśliła, że przekopanie Mierzei ma poprawić samopoczucie mieszkańców regionu, którzy skarżą się na słaby dostęp do morza i ogólnie nie są wystarczająco zadowoleni ze swego

losu. Nie mogą oni, podobnie jak mieszkańcy innych regionów, nie znaleźć się w centrum uwagi i debaty.

Po trzecie, przekopywanie Mierzei zapewni wiele miejsc pracy, z czego skorzystać mogą nie tylko mieszkańcy regionu, ale i dalszych okolic. Kopać może każdy.

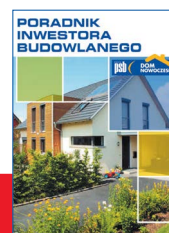
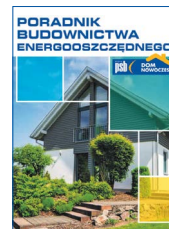
Biorąc pod uwagę wszystkie pogłębione kryteria, a więc jak najdalej idące dotrzymanie obietnicy, maksymalizację satysfakcji mieszkańców oraz jak największy wzrost zatrudnienia, należy się zastanowić, czy przekopywać Mierzeję tylko wszcz, czy również wzdłuż, co nadałoby projektowi prawdziwy rozmach. Jak widać, przyjęcie kryteriów merytorycznych w miejsce jałowego krytykanctwa prowadzić może do rezultatów naprawdę imponujących.

Pozostaje kwestia, skąd wziąć pieniądze? Nie wystarczy już wskazanie, że wystarczy nie kraść. Obecna władza nie kradnie, więc to źródło wyszło. Unia Europejska, która wyraźnie dąży do zahamowania postępującego u nas procesu przemian, też może poskąpić grosza. Program Mierzeja superplus może stanąć pod znakiem zapytania. Wszystko wskazuje na to, że załamał się śmiały zamiar przekształcenia programu 500 plus w 1000 plus. Jeśli nie ma złotych, pozostają niestety same plusy. Ale wszystko przełamać może żelazna wola człowieka, który jest w centrum.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JP



Bezpłatne e-booki do pobrania na www.domnowoczesny.com
Na stronie również do obejrzenia seria 25 filmów o budowie domu.



Poczuj się bezpiecznie

- Ocieplana brama garażowa RenoMatic 2018 z pełnymi segmentami o grubości 42 mm i napędem ProMatic BiSecur
- Drzwi Thermo65 z 5-punktowym ryglowaniem o współczynniku U_d nawet $0,87 \text{ W/(m}^2 \text{ K)}$
NOWOŚĆ: wybrane wzory standardowo w klasie przeciwwłamaniowej RC 2
- Długotrwałe, niezawodne użytkowanie i bezpieczna obsługa

www.hormann.pl • 801 500 100
Opłata za połączenie zgodna z taryfą operatora

HÖRMANN
Bramy • Drzwi • Napędy

Ostrożnie: kampania



Jerzy Baczyński

Duże poruszenie wywołał, opublikowany w ubiegłotygodniowej POLITYCE, tekst naszego dziennikarza śledczego Grzegorza Rzeczkowskiego o „rosyjskich tropach” słynnej afery podsłuchowej. Jednak – o czym obok pisze sam autor – władze państwowe w żaden poważny sposób na artykuł nie zareagowały. W Ameryce, dla zbadania tamtejszych rosyjskich śladów w kampanii wyborczej, powołano urząd specjalnego prokuratora o ogromnych kompetencjach. U nas niezależne śledztwa, zwłaszcza prowadzące w stronę obozu rządzącego, byłyby jeszcze teoretycznie możliwe przed trzema laty, teraz już absolutnie nie, bo jednym z pierwszych ruchów nowej władzy była likwidacja odrębnej prokuratury i podporządkowanie jej ministrowi sprawiedliwości. Jaki prokurator poprowadziłby dziś takie dochodzenie? A służby specjalne? Przecież szef CBA – i jednocześnie nieformalny zwierzchnik wszystkich państwowych tajnych służb – Mariusz Kamiński jest jedną z głównych figur, do których prowadzą różne wątki tej sprawy. Mowy nie ma, żeby za kadencji obecnej władzy udało się cokolwiek tu wyjaśnić. To tylko potwierdza, że niezależne media są w dzisiejszych czasach wciąż, a może i bardziej niż kiedyś, potrzebne, niezastępowalne i osamotnione (o czym jako wydawcy próbujemy przekonać Parlament Europejski, który w tych dniach ma głosować, czy przyznać prasie jakąkolwiek prawną ochronę przed żerującymi na jej materiałach wielkimi korporacjami i portalami internetowymi).

Warto dziś, z perspektywy kilku lat, jeszcze raz popatrzeć na aferę podsłuchową, która wstrząsnęła Polską i polską polityką przed wyborami 2015 r. Czy ktoś jeszcze pamięta rzekomo straszne rzeczy, ocierające się o zdradę stanu, które mieli opowiadać sobie politycy nagrani u Sow i Przyjaciół? Czy poza samym faktem nagrań i ich ujawnieniem było tam cokolwiek nielegalnego, czy ktoś z nagranych trafił pod sąd, został oskarżony, skazany, skompromitowany? A jednocześnie przypomnijmy sobie obecny stan paniki moralnej, powszechnego potępienia, prowadzącego do (spóźnionych, zdaniem wielu) dymisji właściwie wszystkich podsłuchanych.

W kontekście nadchodzących kampanii wyborczych to ważna przestroga: pokazuje, jak łatwo w gruncie rzeczy manipulować opinią publiczną, organizować i nakręcać społeczne oburzenie. PiS zawsze wykazywał tu dużą sprawność, nie tylko wtedy, gdy sam atakował, zarzucając przeciwnikom wszystkie możliwe przestępstwa, ale i wtedy, gdy był atakowany. To technika, którą nazywam „neymarystem” od nazwiska brazylijskiego piłkarza, który na mundialu w Rosji zasłynął efektywnym symulowaniem potwornych cierpień i obrażeń przy najłżejszym kontakcie z rywalem. Tak dokładnie jest z PiS: wszystkie czyny i słowa oponentów stają się od razu „niebываłe, haniebne, brutalne, histeryczne, antypolskie”. Na szczęście, dziś to działa słabiej niż kiedyś.

Ale afery podsłuchowa pokazuje też, jak wielką siłę destrukcyjną mają w politycznych kampaniach nagrania. Właściwie wszystkim ostrym zwrotom politycznym w Polsce w tym tysiącleciu towarzyszyły lub wręcz je wywołały ujawnione „taśmy”. Tak było z „afery Rywina” 2002–04, która rozbiła potęgę SLD, uderzyła

w środowisko „GW” i utorowała drogę do władzy „pierwszemu PiS”. Tenże PiS został potem w 2006 r. ugodzony „taśmami prawdy”, czyli nagranymi przez reporterów TVN „korupcyjnymi propozycjami” składanymi przez wysłannika PiS posłance Samoobrony, co doprowadziło do wymierzonych w Samoobronę serii nagrań w tzw. aferze gruntowej i nieplanowanego upadku rządu Jarosława Kaczyńskiego. Formację PO, która przejęła potem władzę, rozbiła z kolei „afera hazardowa” z 2009 r. związana z ujawnieniem (zapewne przez CBA, kierowane jeszcze/już wtedy przez Mariusza Kamińskiego) nagrań rozmów polityków PO z biznesmenami branży hazardowej. A w drugiej kadencji Platformę dobiła afery podsłuchowa.

Jak skuteczna to broń, pokazuje choćby wciąż tocząca się sprawa Krzysztofa Kwiatkowskiego, obecnego prezesa NIK, któremu nagrano rozmowę z jednym z polityków PSL na temat obsady jakiegoś stanowiska w NIK. Za to – dobru skądinąd prezesowi – grozi proces i przyspieszona dymisja. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby domyślić się, że podobne jak ta rozmowa, o obsadzie jakiegoś stanowiska, poprzedzały dziesiątki tysięcy nominacji personalnych przeprowadzonych przez PiS, nie mówiąc już o innych interesach ludzi władzy. Ale nie ma nagrań.

Gdyby jakakolwiek narada na Nowogrodzkiej, u ministrów Ziobry, Błaszczaka, Brudzińskiego czy Macierewicza „została ujawniona”, brzmiałoby to zapewne nie lepiej niż cokolwiek na historycznych aferowych taśmach. Choć dziś skutek polityczny byłby zapewne umiarkowany. Opozycja jest nadal słaba w neymarowaniu, a w ostatnich latach elektorat PiS tak stężał, że raczej żaden nowy skandal czy wpadka władzy nie naruszy już jego lojalności. To potencjalni wyborcy antyPiS są i będą głównym celem kampanijnych manipulacji; ich jeszcze można pozyskać, zniechęcić lub zneutralizować. Dlatego namawiamy, aby decyzje wyborcze podejmować już teraz, odwołując się do doświadczenia i ocen z ostatnich trzech lat, i się ich potem trzymać – ignorując, na ile można, samą kampanię, która z natury rzeczy mać, tumani, przestrasza.

To dziś łatwiejsze niż jeszcze przed paroma dniami, bo po ostatnich konwencjach wyborczych wszystkich ugrupowań oferty polityczne i programowe leżą na stole. Miniony weekend trzeba zresztą uznać za ogólnie udany dla ugrupowań opozycyjnych. Konwencje Koalicji Obywatelskiej, SLD, PSL, a także imponujący Kongres Obywatelskich Ruchów Demokratycznych w Łodzi miały dynamikę, czytelny przekaz, emocje i sens. Właściwie wszyscy mówili zgodnie o potrzebie bliskiej współpracy środowisk opozycyjnych już w wyborach samorządowych i konieczności zawarcia „paktu antypisowskiego” przed następnymi próbami wyborczymi. Propozycje programowe opozycji także zaczynają się składać w coraz bardziej spójną ofertę „lepszego Polski po PiS”, bardziej solidarnej, empatycznej, demokratycznej, samorządnej. I o tym jeszcze warto rozmawiać. A sama kampania – ze wszystkimi chwytami, hakami, neymarystami – niech się toczy, skoro musi.

Jan Koza



© JAN KOZA

Zmowa?

Grzegorz Rzeczkowski



W części mediów, także społecznościowych, wrze po publikacji POLITYKI o rosyjskich tropach afery podsłuchowej. O sprawie zaczyna być głośno nawet za granicą, ale obsadzone przez PiS instytucje państwa, mające nas chronić przed obcą ingerencją, zastygły w grobowej ciszy. Milczy Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, czyli nasza główna instytucja kontrwywiadowcza. Milczy sejmowa komisja do spraw specjuszów kierowana przez posła PiS Marka Opióła. Milczy prezydenckie Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, którego jednym z zadań jest „monitorowanie, ocena i opiniowanie bieżącej działalności organów władzy publicznej i innych państwowych jednostek organizacyjnych w sferze bezpieczeństwa pozamilitarnego”. Milczy wreszcie koordynator do spraw służb specjalnych, a zarazem wiceprezes PiS Mariusz Kamiński, który zwykle miał dużo do powiedzenia na temat różnych większych i mniejszych spraw o aferalnym tle.

Ta cisza zwraca uwagę zwłaszcza dlatego, że pamiętamy, jak przy okazji katastrofy smoleńskiej obóz PiS nakręcał narrację o rzekomej zmozie Tuska z Putinem i „Komoruskim” prezydencie, szukając na to dowodów nawet we wspólnych zdjęciach. Tylko nieliczni z PiS próbują zbyć temat kpina i szyderstwem. „No nie wiem, jak by mi było w mundurze ambasadorskim” – tak Jarosław Kaczyński

zareagował na słowa Grzegorza Schetyny, który zasugerował, że PiS za „taśmy Falenty” odwdziczył się Rosji zgodą na większy import węgla do Polski. Tropem prezesa poszedł Adam Bielan, który pytany w Onecie przez Agnieszkę Burzyńską o brak reakcji służb, porównał wynik wielomiesięcznego śledztwa POLITYKI wskazującego na prawdopodobny udział Rosji w aferze taśmowej do informacji, że „Marsjanie za tym stoją”. Bo przecież „nie ma żadnych dowodów” na powiązania głównego zleceniodawcy podsłuchów Marka Falenty z ludźmi Rosji i PiS, a w ogóle to już w sprawie zapadły prawomocne wyroki.

Tymczasem są silne poszlaki wskazujące na to, że ludzie z Nowogrodzkiej związani z Mariuszem Kamińskim wiedzieli wcześniej o istnieniu taśm i nimi grali. Są przede wszystkim informacje świadczące o powiązaniach Falenty z ludźmi Kremla i o tym, że – rzecz normalnie niespotykana – dostał od Rosjan węgiel wart ok. 20 mln dol., nie płacąc za niego. W tej sprawie właściwie każdy trop prowadzi do osoby bliskiej rosyjskiego aparatu władzy. Od Falenty, przez węglową firmę KTK, restaurację, w której nagrywano, nawet po ludzi, którzy w niej pracowali.

Nie ma rzecz jasna twardych dowodów i dokumentów na to, że PiS współpracował z Rosjanami lub też że wiedział o ich działaniach. Dlatego ta sprawa powinna być dogłębnie i jak najszybciej zbadana, być może, jak sugerują niektórzy komentatorzy, przez sejmową komisję śledczą, czego opozycja może się domagać, tak jak PiS domagał się tego trzy lata temu. Bo tu nie chodzi ani o PiS, ani o PO, ani o jakąkolwiek inną partię. Chodzi o to, czy zgodzimy się, by rządzone autorytarnie państwo, które wyspecjalizowało się w podstępnych działaniach, mogło bez żadnych konsekwencji, a nawet bez próby rzetelnego zbadania poszlak i dowodów, wywierać wpływ na bieg najważniejszych spraw w Polsce.

Krynica władzy

Na Forum Ekonomicznym w Krynicy wszystko niby po staremu. Panele dyskusyjne ponownie były raczej pretekstem do mniej lub bardziej oficjalnych spotkań na styku gospodarki, polityki, piaru i lobbingu niż wydarzeniem samym w sobie. Jak co roku wieczorami kwitło życie towarzyskie, a tłumy gości płynnie przechodziły znanym sobie szlakiem z imprezy na imprezę.

Lista obecności polityków tradycyjnie imponująca. Dominowała strona rządowa – przyjechał Mateusz Morawiecki z licznymi ministrami i wiceministrami, pojawili się marszałkowie Sejmu i Senatu, był szef klubu PiS Ryszard Terlecki. Poseł Andrzej Mularczyk spacerował po deptaku z żoną, która kandyduje na fotel prezydenta w Nowym Sączu, wizję rozwoju Warszawy roztoczył Patryk Jaki w rozmowie z presenterką „Wiadomości” Danutą Holecą. Prezydenta reprezentowali ministrowie pałacowi: Krzysztof Szczerski, Andrzej Dera i Adam Kwiatkowski.

Licznie stawili się też politycy opozycji. Byli liderzy Koalicji Obywatelskiej Grzegorz Schetyna i Katarzyna Lubnauer, przyjechali też prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz i szef SLD Włodzimierz Czarzasty.

Nowością była inwazja os, które prowokowały gości imprezy do zabawnych,

acz nieco nerwowych ruchów. Ale zmieniła się także – w porównaniu z kilkoma ostatnimi edycjami imprezy – atmosfera. W 2015 r. czuć było nadchodzące zmiany; jeszcze rządziła koalicja PO-PSL, ale prezydentem był już Andrzej Duda, a nagrodę Człowieka Roku odebrał Jarosław Kaczyński, co otworzyło Forum na polityków PiS. W 2016 r. wydarzeniem była debata Kaczyńskiego z Viktorom Orbánem, a rok później wszyscy zastanawiali się nad możliwością dymisji Beaty Szydło i rekonstrukcją rządu. W tym roku takiego politycznego lejtmotywu zabrakło, w rezultacie było trochę sennie i letnio.

W tej sytuacji bohaterem rozmów na deptaku stał się ekszercznik prezydenta Krzysztof Łapiński, który tuż przed Forum ogłosił swą dymisję (więcej o sytuacji u prezydenta na s. 12).

Sporo dyskutowało się też o wyborach samorządowych, choć budzą one wyraźnie mniejsze emocje niż starcie parlamentarne. – *Przegracie, zobaczcie* – zaczął szef klubu PO Sławomir Neumann marszałka

Senatu Stanisława Karczewskiego, na którego wpadł na deptaku. Na co ten odparł kpiąco: – *Prawdziwe wybory są za rok. Teraz to tylko sparing.*

W Krynicy było też widać, że część firm – zwłaszcza tych z amerykańskim kapitałem – duże nadzieje wiąże z nową ambasadorką USA Georgette Mosbacher. Pierwsze sygnały są ponoć obiecujące, ambasadorka pokazała się w wywiadach i mniej oficjalnych spotkaniach jako przyjaciółka biznesu. Obniża to prawdopodobieństwo uchwalenia

w tej kadencji ustawy dekoncentracyjnej, która uderzyłaby w amerykańskich właścicieli TVN.

Człowiekiem Roku został ogłoszony Saulius Skvernelis. Wcześniej z ubiegania się o ten tytuł zrezygnował Morawiecki i premier Litwy z łatwością pokonał nominowanych umiarkowanych sympatyzykujących z władzą: Janinę Ochojską, Roberta Biedronia, Adama Bodnara, Jacka Majchrowskiego i Grzegorza Kołodkę. Bo pewnie rzeczy w Krynicy nigdy się nie zmieniają. WBS



KOMENTARZ

Nadzwyczajna kasta sędziów PiS

Ewa Siedlecka



Zaczął się od nominacji do nowej Krajowej Rady Sądowniczej. Sędziowie, których tam wyznaczył PiS, dostali w pakiecie prezesury i awanse do sądów wyższych instancji. Np. prezes Sądu Okręgowego w Krakowie Dagmara Pawełczyk-Woicka, zwana „koleżanką Ziobry”, z sądu rejonowego przeskoczyła najpierw na fotel prezesa sądu okręgowego, a potem dostała fuchę w KRS, gdzie wybiera m.in. sędziów do Sądu Najwyższego. Partia takie osoby jak ona – prezesów dużych sądów – praktycznie zwolniła od orzekania. Najnowsze rozporządzenie ministra-prokuratora Zbigniewa Ziobry wyznacza im pensum wysokości 10 proc. spraw, które dostaje sędzia liniowy. Ale ktoś orzekać musi. Prezes Pawełczyk-Woicka właśnie przeniosła sędziego Waldemara Żurka do innego wydziału, ponieważ uznała, że jest niedociążony. Teraz będzie sądził w dwóch wydziałach, bo nie odebrała mu wcześniej przydzielonych spraw.

Niektórych partia docenia jeszcze mocniej. W programie „Uwaga” TVN24 pokazano w zeszłym tygodniu historię sędziego Sądu Okręgowego w Lublinie Jerzego Daniluka. Partia delegowała go do Sądu Apelacyjnego w Lublinie i uczyniła wiceprezesem, ze stosownymi apanażami. Sędzia zażyczył sobie dodatku mieszkaniowego z powodu owej delegacji. Ale nie było podstawy prawnej, bo nadal orzekał w Lublinie. Więc partia, decyzją wiceministra sprawiedliwości Łukasza Piebiaka, delegowała delegowanego już raz wiceprezesa Sądu Apelacyjnego w Lublinie do Sądu Okręgowego w Siedlcach. I dodatek – wysokości 2120 zł miesięcznie – już się należał. Do tej pory na wynajęcie mieszkania w Siedlcach pobrał

już ponad 14 tys. zł. Nic nie wiadomo, by je wynajął. I nie orzeka w Siedlcach. System losujący nigdy nie przydzielił mu żadnej sprawy. Widziano go raz jeden, zaraz po delegowaniu, w styczniu. Pobiera natomiast „kilometrówkę” za dojazdy z Białej Podlaskiej (600 zł miesięcznie). Nie orzeka też w Sądzie Apelacyjnym w Lublinie, bo – teoretycznie – orzeka w Siedlcach.

Ale dodatek mieszkaniowy, „kilometrówka” i pensja sędziego sądu okręgowego powiększona o dodatek funkcyjny wiceprezesa sądu to nie jedyny dochód sędziego Daniluka. Do tego trzeba doliczyć 5368 zł miesięcznego wynagrodzenia komisarza wyborczego, bo partia rzuciła sędziego także na odcinek wyborczy.

Od orzekania partia praktycznie zwolniła też innego ulubieńca: sędziego Dariusza Drajewicza. Delegowała go z Sądu Rejonowego dla Warszawy Mokotowa do Sądu Okręgowego w Warszawie i uczyniła wiceprezesem ds. karnych. Dostał też funkcję w KRS – wiceprzewodniczącą. Jego pensum w sądzie to jedna czwarta tego, co mają inni sędziowie. Teoretycznie, bo został całkiem zwolniony od orzekania przez mianowaną przez ministra-prokuratora Ziobrę prezes sądu Joannę Bitner. Ostatnio zaś dostał kolejną delegację: do Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

Sędzia Drajewicz poświęca się głównie działalności w KRS, która dekomunizuje i dekryminalizuje właśnie Sąd Najwyższy. Bo, jak podkreślał premier Morawiecki w Brukseli, a ostatnio w gdyńskim liceum prezydent Duda, w Sądzie Najwyższym orzekają sędziowie stanu wojennego. I złodzieje – co z kolei oświadczył dziennikarzom członek KRS poseł Piotrowicz pytany, czemu KRS tak strasznie się spieszy z obsadzaniem Sądu Najwyższego.

Nadzwyczajna kasta sędziów wdzięcznych PiS-owi będzie rosnąć, bo posadzi i apanaży do rozdania jeszcze sporo: w Ministerstwie Sprawiedliwości, w MSZ – gdzie też zagwarantowano miejsca dla sędziów. A prezesów i wiceprezesów sądów też udało się wymienić dopiero w 20 proc. – jest potencjał. Partia mnoży zresztą rozmaite funkcje w sądzie związane z dodatkami i przywilejami, jak wspomniane zwolnienie od orzekania. Do tego ten genialny patent z fikcyjnym delegowaniem i realnymi dodatkami mieszkaniowymi.

Pytanie: kto w takim razie będzie sądził te 15 mln spraw rocznie, raczej partii nie zaprzęta.



© STANISŁAW TYM

Już nie od poczęcia

Rzecznik praw dziecka zmienił część kontrowersyjnych przepisów w projekcie Kodeksu rodzinnego przedstawionym w połowie lipca, o czym pisaliśmy w POLITYCE nr 30. Marek Michałak, kilka tygodni przed końcem swojej kadencji RPD, zaprezentował przepisy sformułowane przez Komisję Kodyfikacyjną pracującą kilka lat przy jego biurze. Kodeks rodzinny jej autorstwa nazwał „przełomem w myśleniu o dziecku i jego rodzinie”, „nową koncepcją ochrony dzieciństwa, rodzicielstwa, małżeństwa, rodziny”. W tej nowej koncepcji dziecko zostało zdefiniowane jako „istota ludzka od poczęcia do pełnoletności”. Zwracaliśmy uwagę na to, że konsekwencje takiego ujęcia byłyby niezwykle poważne

(silny argument zyskaliby tzw. obrońcy życia, naciskający na zaostrzenie przepisów antyaborcyjnych), a także na jego sprzeczność z innymi przepisami. Nasz głos, wraz z podobnymi argumentami innych środowisk, najwyraźniej dotarł do Marka Michałaka. Zmienił on kodeksową definicję na zgodną z Konwencją o prawach dziecka, według której jest ono „każdą istotą ludzką w wieku poniżej osiemnastu lat, chyba że zgodnie z prawem odnoszącym się do dziecka uzyskała ona wcześniej pełnoletność”. O poczęciu nic nie ma.

Druuga zmiana, o której informuje Biuro RPD, dotyczy skierowania rozwodzących się małżonków, którzy wspólnie wychowują dzieci, do specjalisty od życia rodzinnego, aby ten uświadomił im następstwa rozwodu lub separacji dla dziecka. Według pierwotnego projektu takie skierowanie

miało być obowiązkowe. Po namyśle RPD uznał, że to jednak nie ma być obowiązek, a tylko „powinność”. W uzasadnieniu czytamy, że chodzi o uwzględnienie sytuacji rodzin, w których występuje przemoc. Przypuszczalnie więc sąd mógłby zrezygnować z fundowania ofiarom małżonków oprawców dodatkowego progu wydłużającego procedurę rozwodową. Zmiany cieszą, choć oczywiście mogłyby iść znacznie dalej. Rzecznik nie zmienił zdania m.in. w sprawie mediacji – skierowanie na nią nadal ma być obowiązkowe, także dla rodzin z problemem przemocy. Pozostaje też zagadką, czy prezydent, na którego pośrednictwo Marek Michałak najbardziej liczył, faktycznie złoży projekt (sam RPD nie ma inicjatywy ustawodawczej). No i co z nim zrobią parlamentarzyści.

JC



Historyczne wizje premiera

Również najnowsza historia Polski padła ofiarą pisowskich „udoskonaień”.

Mateusz Morawiecki, choć w istocie jest tylko wykonawcą linii politycznej wytyczonej przez prezesa PiS, formalnie pełni jednak rolę premiera polskiego rządu, dlatego mają znaczenie jego publiczne wypowiedzi, także te, w których przedstawia własną wizję najnowszej historii naszego kraju. Jak choćby ostatnio, z okazji rocznicy zawarcia porozumienia gdańskiego. Szef rządu przemawiał w historycznej Sali BHP Stocznii, w miejscu, w którym 38 lat temu przywódcy sierpniowego strajku układali 21 postulatów, gdzie obradował Międzyzakładowy Komitet Strajkowy i wreszcie podpisano porozumienie, na mocy którego władze PRL uznawały prawo pracowników do tworzenia samorządnych i niezależnych związków zawodowych. Szczególna okazja i charakter tego miejsca powinny skłaniać premiera do szczególnej odpowiedzialności za wypowiadane słowa i do okazania szacunku oraz wyrazów wdzięczności wszystkim ludziom, którzy doprowadzili do tamtego historycznego przełomu. Nic takiego nie nastąpiło. Morawiecki nie wspominał nawet o Lechu Wałęsie. Z przywódców sierpniowego strajku wymienił tylko postaci sympatyzujące z jego partią. Pokrótce przedstawił jednak swoją wizję najnowszej historii Polski, nie zapominając po raz kolejny wspomnieć o własnym zaangażowaniu w walkę z ówczesnym systemem w strukturach Solidarności Walczącej.

Odnoszę się z szacunkiem do postawy młodziutkiego Mateusza Morawieckiego, który działał w podziemnej organizacji założonej przez ojca. Jest jednak nieco irytujące i niezbyt stosowne częste przywoływanie przez niego w publicznych wystąpieniach osobistej walki z komunizmem, w której – chociażby z racji wieku – nie mógł odegrać szczególnie znaczącej roli, i wystawianie krytycznych cenzurek lub przemilczanie roli ludzi, którzy przewodzili podziemnej Solidarności i – w wielu wypadkach – płacili za to cenę wieloletniego więzienia.

Emocjonalne identyfikowanie się Mateusza Morawieckiego z Solidarnością Walczącą jest zrozumiałe. Trudno jednak zaakceptować, że nie potrafi on przyznać, iż w przełomowym okresie schyłku PRL jej liderzy błędnie oceniali sytuację Polski i – w konsekwencji tego faktu – dokonywali nietrafnych wyborów politycznych.

W swym gdańskim wystąpieniu premier co prawda łaskawie wyznał, że dziś ocenia łagodnie decyzję o podjęciu rozmów Okrągłego Stołu, ale nie omieszczał potępić „grubej kreski”, „zblatowania się niektórych liderów Solidarności” z komunistami i błędów z zakresu „wejścia w czas III Rzeczypospolitej”. Z dumą mówił natomiast o pomysłach – rozważanych w Solidarności Walczącej w schyłkowym okresie PRL – walki na barykadach oraz konstruowania karabinów.

Szanuję ideowość i gotowość do poświęceń wielu działaczy Solidarności Walczącej. Nie mam jednak najmniejszych wątpliwości, że w 1989 r. dokonaliśmy dobrego wyboru, decydując się na Okrągły Stół, a nie na pomysły Solidarności Walczącej – czyli oczekiwanie na to, że system się sam zawali, albo przygotowanie rewolucji. Systemy polityczne niezmiernie rzadko załamują się same z siebie. Potrafią długo gnić, przekształcać się

i rzeczywiście upadać w wyniku rewolucji. Ten ostatni wariant nie wchodził jednak w grę w Polsce końca lat 80. XX w. Nie było wówczas w naszym kraju rewolucyjnej czy powstańczej atmosfery. Stan wojenny przekonał zdecydowaną większość Polaków, że konfrontacja siłowa z władzami PRL nie może zostać wygrana. Zasięg postaw opozycyjnych w społeczeństwie był szeroki, Solidarność nie została zniszczona. Ideologiczne podstawy systemu zostały skompromitowane, ale w żadnym razie nie oznaczało to, że zmęczone społeczeństwo było gotowe do nowego masowego zrywu. Potwierdził to niewielki zasięg majowych i sierpniowych strajków w 1988 r.

Okrągły Stół otworzył drogę do wyborów czerwcowych, które miały charakter plebiscytu. Doprowadziły do powstania rządu z przewagą dotychczasowej solidarnościowej opozycji, a następnie – do zmiany ustroju. Jest faktem, że przywódcy obozu solidarnościowego, podejmując decyzję o przystąpieniu do rozmów Okrągłego Stołu, nie przewidzieli dynamiki procesu politycznego, który inicjowali. Wstępowali na drogę prowadzącą do wielkiego narodowego sukcesu. Była to ich zasługa i wybór świadczący o znacznie lepszym rozeznaniu rzeczywistości niż w przypadku przywódcy SW Kornela Morawieckiego, który ukrywał się w Polsce do 1990 r., choć już nikt od dawna go nie poszukiwał.

Premier Morawiecki, ubolewając nad początkami III RP, powtarza tezę o „zblatowaniu się” części solidarnościowych elit z niedawnymi wrogami. W trakcie długich rozmów rzeczywiście pękło wiele lodów i niektórzy z niedawnych przeciwników zaczęli patrzeć na siebie z pewną sympatią. Czy znaczy to jednak – jak sugeruje Mateusz Morawiecki, a przed nim wielokrotnie stwierdzał Jarosław Kaczyński – że powstała nowa polityczno-biznesowa „siuchta” złożona z przedstawicieli starych i nowych elit władzy?

Ta teza jest nieprawdziwa. Elementarna znajomość historii politycznej Polski po 1989 r. pozwala stwierdzić, że relacje polityczne pomiędzy spadkobiercami PRL i strukturami wywodzącymi się z solidarnościowego obozu ucywilizowały się w ramach demokratycznego państwa, ale podstawową linię podziału nadal wyznaczała historia. Jedyną próbą jej przekroczenia było powołanie Unii Pracy, ale jeszcze w XX w. znikła ona z Sejmu i przestała być samodzielną siłą polityczną. Dopiero w XXI w. polityka PiS, uderzająca w porządek konstytucyjny i zmierzająca do przekształcenia Polski w fasadową demokrację, spowodowała wytworzenie się nowej linii zasadniczego politycznego podziału: na PiS i jego przeciwników. Jest to spór o być czy nie być ustroju demokratycznego w Polsce.

W swoim gdańskim wystąpieniu premier zadeklarował, że to rząd PiS jest spadkobiercą wielkiej tradycji Solidarności. Co prawda nie powiedział wprost, że jest on jedynym spadkobiercą tej tradycji, ale nietrudno było odczytać myśl, że co najmniej uważa, iż jego gabinet jest tym najbardziej prawowitym spadkobiercą. I ta teza jest fałszywa. Pierwsza wielka Solidarność była ruchem wielonurtowym, ale na wskroś demokratycznym, domagającym się wolności, praworządności i poszanowania godności człowieka. Rząd PiS nie tylko tych wartości nie szanuje. On je z premedytacją niszczy.

Kto wygrał w Szwecji?

Wiadomo, która partia wygrała niedzielne wybory parlamentarne w Szwecji, ale kto przez następne 4 lata będzie rządził krajem, dziś trudno powiedzieć.



Ofotel premiera na kolejną kadencję ubiega się obecny szef rządu, socjaldemokrata Stefan Löfven. Jego partia odnotowała najgorszy wynik w historii (28,4 proc.), chociaż nadal będzie największym ugrupowaniem w Riksdagu. Konkuruje z nim uważany za przywódcę opozycji konserwatyista Ulf Kristersson, ale i jego partia zadołowała w wyborach (19,8 proc.). Natomiast nacjonalistyczna i antyimigracyjna partia Szwedzkich Demokratów, która ma na koncie największy postęp (do 17,6 proc.), jest z góry wykluczana przez resztę ugrupowań. Rokowania rządowe będą zapewne długie, a ich wynik trudny do przewidzenia.

Uchodźcy i związane z nimi problemy zniknęły w końcówce kampanii wyborczej. Na czoło wysunęły się, tak przynajmniej wynika z sondaży, sprawy dnia codziennego. Wyborcy ukarali rządzące partie, socjaldemokratów i zielonych, za dziury w państwie dobrobytu, jakim ciągle jest Szwecja. Narzekano na długie kolejki do lekarzy, niezadowolającą opiekę socjalną, brak nauczycieli i związany z tym spadek jakości nauczania, spadek poczucia bezpieczeństwa, deficyt mieszkań i wzrost kosztów.

Szwecja przyjęła najwięcej w Europie uchodźców, licząc na głowę mieszkańca, ale stać ją było na to i uchodźcy są potrzebni, bo brakuje rąk do pracy. Sytuacja finansowa państwa jest tak dobra, że rząd spłacał stare długi i Szwecja jest dzisiaj najmniej zadłużonym krajem w Europie. Paradoksalnie to właśnie liberalno-konserwatywna opozycja krytykowała rząd za, jej zdaniem, nadmierny pośpiech w spłaceniu. Z polskiej perspektywy wydaje się, że socjaldemokraci szwedzcy popełnili ten sam błąd co Platforma Obywatelska, zakładając, że wraz ze wzrostem gospodarczym problemy socjalne rozwiążą się same.

Trump mebluje Sąd Najwyższy

Bulwersujące rzeczy dzieją się wokół obsadzenia wakatu w Sądzie Najwyższym USA po odejściu na emeryturę sędziego Anthony'ego Kennedy'ego. Prezydent Trump mianował na jego miejsce konserwatywnego sędziego **Bretta Kavanaugha**. Na przesłuchaniach w Senacie mających zadecydować o jego zatwierdzeniu demokratyczni senatorowie usiłują się od niego dowiedzieć, co myśli np. o obowiązkach składania przez urzędującego prezydenta zeznań w sprawach karnych albo o możliwości ulaskawienia samego siebie, jeśli jest oskarżony. Ma to kluczowe znaczenie w kontekście toczącego się śledztwa specjalnego prokuratora w sprawie rosyjskich powiązań Trumpa i jego współpracowników. Kavanaugh na wszystkie pytania odpowiada tak wykrętnie, że nie sposób się zorientować, jak może orzekać w tych kwestiach, a tymczasem oczekuje się, że w razie postawienia Trumpowi zarzutów Biały Dom odwoła się do Sądu Najwyższego. Dodatkowo republikanie odmówili przekazania opozycji większości dokumentów z okresu pracy Kavanaugha dla prezydenta George'a W. Busha, które mogłyby rzucić światło na poglądy sędziego w sprawie prezydenckiego immunitetu, a ich część udostępnili dopiero na dzień przed przesłuchaniami.

Nominacja Kavanaugha jest praktycznie przesądzona, gdyż republikanie wcześniej zabrali głos, by Senat rozstrzygał o tym zwykłą większością głosów. Mają tam większość nieznacznie (50–49), ale wystarczającą, bo wszyscy senatorowie z tej partii zapewne zagłosują „za”. Polaryzacja w Kongresie, będąca odbiciem zaostrego podziału w całym społeczeństwie, sprawiła, że nawet proces nominacji sędziów Sądu Najwyższego staje się coraz bardziej politycznym teatrem. Coś nam to może przypominać. Ale polska „dobra zmiana” zaszła już dużo, dużo dalej. Trump musi na nią patrzeć z zazdrością.



Jeszcze więcej Chin w Afryce

Jak co trzy lata przywódcy Chin odebrali hołd od kolegów z Afryki. Tym razem do Pekinu przyjechało 48 głów państw afrykańskich i 5 delegacji na niższym szczeblu. Nie stawiała się tylko reprezentacja królestwa eSwatini, dawniej znanego jako Swaziland, które nad związki z chińskimi komunistami przedkłada sojusz z Tajwanem. Najważniejszym punktem szczytu była owacja na stojąco dla przewodniczącego Xi Jinpinga. Obiecał, że w kolejnej trzylatce Afryka otrzyma tyle wsparcia, co w poprzedniej: 60 mld dol., mieszanki atrakcyjnych pożyczek, inwestycji, bezwrotnych pomocy, grantów i sporej porcji tradycyjnych kredytów wymagających spłaty.

Ekspertiści od lat próbują oszacować, komu ten związek bardziej się opłaca. Wiadomo, że Chiny zajęły w niedoinwestowanej i ignorowanej Afryce mocne przyczółki, utworzyły rynek zbytu na własne produkty i usługi, zbudowały trasy do wywozu potrzebnych im surowców, założyły tam pierwszą swoją zagraniczną bazę wojskową, a w latach 2000–16 udzieliły ponad 125 mld dol.



kredytów. A Chińczycy, inaczej niż Europa lub USA, nie doliczają odsetek politycznych, nie żądają walki z korupcją lub uczciwych wyborów. Afryce to odpowiada, ale Zachód, trochę w poczuciu malejących wpływów, przestrzega, że Chiny trzymają coraz więcej afrykańskich długów, mają np. ponad 70 proc. zagranicznego zadłużenia Kenii czy Dżibuti. Wiele z inwestycji powstaje za chińskie kredyty i rękami chińskich robotników. Np. położona tak linia kolejowa z kenijskiej portowej Mobassy do Nairobi kosztowała 3,2 mld dol., podczas gdy remont już istniejącej trasy kosztowałby jedną trzecią tej ceny.

Mozna chiński sukces mierzyć skalą handlu (już 170 mld dol. rocznie, cztery razy więcej niż wymiana Afryki z USA) albo tzw. miękką siłą. Na kontynencie działa 48 Instytutów Konfucjusza, oferujących m.in. kursy języka chińskiego, jeszcze w 2004 r. nie było tam ani jednej takiej placówki. Liczba afrykańskich studentów w Chinach prawdopodobnie przekracza 60 tys., na świecie tylko we Francji studiuje więcej Afrykańczyków. Tymczasem Xi Jinping właśnie obiecał Afryce kolejne 50 tys. stypendiów.



Hinduska aktywistka społeczności LGBT świętuje zmiany w prawie.

Ucieczka z gorsetu

W wielu krajach Commonwealthu stosunki osób tej samej płci są zagrożone karą. Indie się z tego wyzwoliły.

Imperium Brytyjskie wciąż atakuje. A przynajmniej jego prawa, które państwa wyrrywające się z kolonializmu pozostawiły w swoich kodeksach. Na początku września Indie wykreśliły przepisy pochodzące jeszcze z 1861 r., na mocy których stosunki homoseksualne zagrożone były karą do 10 lat pozbawienia wolności. Pięciu sędziów sądu najwyższego zdecydowało jednogłośnie, ale wyrok to efekt wieloletniej walki prowadzonej przez środowisko osób nieheteronormatywnych (jak się dziś je poprawnie określa). Reliktu epoki wiktoriańskiej, narzuconego przez okupanta, bronili bowiem konserwatyści, silni w przywiązaniu do tradycji indyjskim społeczeństwie.

Podobne kampanie podejmowali aktywiści w innych byłych koloniach brytyjskich, z różnym skutkiem: stosunki osób tej samej płci wciąż zagrożone są karą w ponad 35 krajach członkowskich Commonwealthu, przy czym tylko w kilku z nich, jak w Malezji, Pakistanie lub Nigerii, dużą rolę odgrywa islam. Konserwatywne lub autorytarne władze często komfortowo czują się w starym brytyjskim gorsecie. W Indiach na sprucie czekają przepisy ułatwiające m.in. cenzurę publikacji i przedstawień teatralnych. A sąd w Mjanmie (Birmie) też na mocy przepisów brytyjskich, tyle że z lat 20. XX w. i o tajemnicy państwowej, dopiero co skazał na 7 lat więzienia dwóch dziennikarzy londyńskiej agencji Reuters, relacjonujących zbrodnie przeciwko ludności, których dopuszcza się mjanmarska armia na narodzie Rohingya. Protesty rządu Wielkiej Brytanii na razie zdały się na nic.

Listonosz dzwoni po ośmiu latach



Na Zachodni Brzeg trafiło 10,5 ton zaległych przesyłek z ostatnich ośmiu lat, listów, w tym poleconych, paczek z lekami, przesyłek internetowych oraz wysłany z Turcji wózek inwalidzki. Do tej pory grzęzły po jordańskiej stronie, teraz zostały przekazane adresatom jednorazową i niespodziewaną decyzją władz izraelskich. Trafiły do centralnej sortowni w Jerychu, gdzie trzeba było korek rozładować i zatrudnić dodatkowych roznosicieli. I to właściwie koniec dobrych wiadomości. Amerykański Departament Stanu ogłosił, że przestaje wspierać finansowo UNRWA, Agendę Narodów Zjednoczonych dla Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie (utworzoną rezolucją ONZ w grud-



© GETTY IMAGES (2)

niu 1949 r.). Uznając ją, ustami rzecznika, za organizację „działającą wadliwie i niereformowalną”. Wcześniej prezydent Trump tylko narzekał, a potem wstrzymał pomoc dla Palestyńczyków, uznając to jako sankcję za „niechęć do negocjacji z Izraelem”.

Do tej pory USA miały największy udział w finansowaniu tego programu pomocy: w 2017 r. przekazały 364 mln dol., odpowiadając blisko 30 proc. operacji w regionie (grubo więcej niż kolejni na liście: UE, Arabia Saudyjska, Niemcy i W. Brytania). Według danych UNRWA wspiera ona ponad 5 mln Palestyńczyków w Gazie, na Zachodnim Brzegu, w Libanie, Jordanii i Syrii. W samej Gazie z codziennej pomocy żywnościowej korzysta milion osób, UNRWA praktycznie organizuje tu i na Zachodnim Brzegu cały system szkolnictwa i opieki medycznej. Dziury po amerykańskich subsydiach łatwo się nie załata (większe wsparcie obiecali na razie Niemcy), więc jeśli listonosz zadzwoni tu wreszcie do drzwi, to raczej ze złą nowiną.

REKLAMA

N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A



W najnowszym numerze:

● **BICEPSY PUTINA**

Rusza nowy wyścig zbrojeń

● **CHEMNITZ W OGNIU**

Naziści rosną w siłę

● **KEVIN? JAKI KEVIN?**

Spacey wykasowany

● **BHAD BHABIE**

Koszmar w kłapkach Gucci

● **ROSJA OBIECANA**

Z RPA na Syberię [Kup książkę](#)

● **POLUJĘ, BO LUBIĘ**

Ostatni wielorybnik

● **DŻAKARTA TONIE**

Nowa Atlantyda

● **MAMO, JESTEM SŁAWNA**

Kariera na wyrost

● **EUROPA ZŁUDZEŃ**

Idzie koniec Unii?

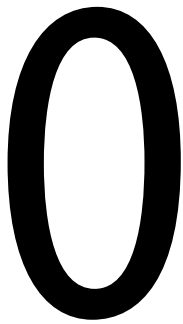
● **JĄDRO CIEMNOŚCI**

Kongo pogrążone w wojnie

Pusta prezydentura

© TOMASZ URBANEK/EAST NEWS

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI



Po swoich upadkach i wzlotach prezydent Duda wszedł w fazę stagnacji. Wydaje się, że pokazał już wszystko, na co go stać, i ta świadomość dociera także do jego otoczenia.

Odwiedziny Andrzeja Dudy w Zgorzelcu, 6 września. Jedna z wielu wizyt krajowych prezydenta, który w małych i średnich miastach ma zagwarantowane ciepłe przyjęcie, dzięki czemu ładuje akumulatory. Ale tym razem jest inaczej. Spotkanie z wyborcami zakłóca lokalny dziennikarz Janusz Pawul, który kilka razy woła do Dudy: „Panie prezydencie, zamykają zakład w Pieńsku, 230 osób straci pracę”. Duda nadal rozdaje uśmiechy i uściski ręki, by w końcu rzucić do Pawuła: „Proszę się nie martwić, utworzą następny”. To była odzywka w stylu Bronisława Komorowskiego, który na finiszu kampanii 2015 r. na pytanie: „jak żyć?”, beztrosko doradził zmianę pracy i wzięcie kredytu.

Scenka ze Zgorzelca niczego oczywiście nie przesądza. Nie będzie do bólu powtarzana w „Wiadomościach”, a ci, którzy się na brak empatii prezydenta oburzają, nie są w większości jego wyborcami. To drobny wizerunkowy problem, a mimo to pokazuje coś istotnego: utratę refleksu i wyczucia. Duda w formie z kampanii podszedłby do takiej osoby, wysłuchał jej i obiecał, że porozmawia o Pieńsku z burmistrzem i wojewodą. Ale ta forma uleciała, a wynika to z dużo poważniejszych problemów politycznych, które od ładnych kilku miesięcy osłabiają prezydenta.

Odejście rzecznika, bałagan w Kancelarii

Na początku września z Pałacu odszedł rzecznik prezydenta Krzysztof Łapiński. Rozstanie było pokojowe, ale niespodziewane, także dla samego Dudy. Łapiński tłumaczy, że po 16 miesiącach pracy dla państwa chce się poświęcić karierze w branży PR. Mówi, że skończył 40 lat i to „dobry czas na odważne decyzje”.

– *Krzysztof dla prezydenta porzucił mandat poselski, o którym wiele lat marzył. To on razem z Marcinem Mastalerkiem wspierali Andrzeja Dudę, aby zawetował dwie ustawy sądowe PiS, miał poczucie wpływu, ale to się skończyło. Gdyby prezydent regularnie się z nim spotykał i rozmawiał, to Krzysztof nie myślałby o skoku w bok* – mówi polityk Zjednoczonej Prawicy. Łapiński wchodzi do biznesu i – jak wieść niesie – razem z Mastalerkiem zakładają agencję PR. Mastalerek – były sztabowiec PiS, którego Kaczyński „za arogancję” wykreślił z list wyborczych, po wyborach dostał posadę w PKN Orlen. Ale rok temu, za – jak mówią w PiS – namawianie Dudy do weta sądowego, wyrzucili go też z paliwowej spółki. Starał się o miejsce w zarządzie Lotu, marzył o stanowisku w Ekstraklasie, ale w państwowych spółkach był na cenzurowanym.

Otoczenie prezydenta ma żal do Łapińskiego, że o jego decyzji Duda dowiedział się kilka godzin przed publikacją w „Rzeczpospolitej”, która pierwsza podała tego newsa. To było tuż przed rozpoczęciem Forum Ekonomicznego w Krynicy. Łapiński zapewnia, że przyjechał do Krynicy na własny koszt, już nie jako rzecznik, ale chciał wziąć udział w panelu, by nie stawiać organizatorów w kłopotliwej sytuacji. – *Piarowo wybrał idealny moment, pokazał się przed biznesem, dla którego chce teraz pracować. Nigdy nie zrobił tak dobrej akcji promocyjnej dla prezydenta, jak zrobił dla siebie* – ironizuje nasz rozmówca z otoczenia prezydenta. Dodaje, że Krzysztof odszedł z wizerunkiem wpływowego polityka, często gościa mediów, który nieźle sobie radził w TVN. – *Wybrał dla siebie dobry moment, bo sytuacja zaczęła układać się tak, że prezydent nie chce wojny z PiS, chce drugiej kadencji, i Krzysiek za kilka miesięcy już nie okazałby się tak wpływowy, jak głosi legenda* – słyszymy od osoby w Pałacu. Adam Bielan, wicemarszałek Senatu, tak komentował odejście rzecznika: „W Pałacu Prezydenckim są różne

mapy sympatii, antypatii i relacje towarzyskie. O różnych sporach wewnątrz Pałacu też się słyszało na korytarzu”.

Jak dowiadujemy się od osoby dobrze zorientowanej w pałacowych układach, Krzysztof Szczerski zabiegał o to, aby Łapińskiego zastąpił Andrzej Gajcy, dziennikarz i publicysta onet.pl, wcześniej związany z „Rzeczpospolitą”. Duda postawił jednak na utrzymanie dobrych relacji z Łapińskim i Mastalerkiem. Nowym rzecznikiem – czwartym już w tej kadencji, co też nie świadczy najlepiej o stosunkach w Pałacu – został Błażej Spychalski, polecony zresztą przez Mastalerka.

Ta nominacja nie budzi w obozie władzy entuzjazmu, a można się było o tym przekonać już kilka godzin po jej wręczeniu. W „Wiadomościach” w 36-sekundowym materiale z paskiem „Kontrowersyjny nowy rzecznik” większość czasu zajęła opowieść o tym, że łącząc funkcję radnego sejmiku łódzkiego z pracą w miejskich spółkach, „tylko w zeszłym roku zarobił ponad 300 tys. zł”. Spychalski nie budzi entuzjazmu, bo w partii dobrze wie, że ten wybór oznacza tyle, iż Mastalerek i Łapiński wciąż będą doradzać Dudzie, tylko że nieformalnie. A obaj są w PiS, najłagodniej mówiąc, niespecjalnie lubiani.

Spychalski (rocznik 1985) to prawnik z wykształcenia, wieloletni działacz PiS trzeciego planu. Zawsze blisko Mastalerek. Kiedy Mastalerek dowodził partyjną młodzieżówką, wybrał go na swojego następcę. Gdy został posłem i szefem okręgu partii w Łodzi, Spychalski zrezygnował z mandatu radnego sejmiku wielkopolskiego i przeniósł się do łódzkiego. Kilka lat temu pracował w klubie parlamentarnym PiS i w biurze organizacyjnym partii przy Nowogrodzkiej. Nie ma samodzielnej pozycji – ani w świecie polityki, ani w mediach, co nie ułatwi mu pracy w pierwszych tygodniach. Na początku urzędowania internauci przypomnieli, jak kilka lat temu udostępnił listę czołowych dziennikarzy z adnotacjami: „córka kanalii z okresu stanu wojennego”, „konfident SB”, „wnuk jednego z największych stalinowskich zbrodniarzy” itp. Pytany o to, Spychalski powiedział, że „niczego nie żałuje”. Dopiero potem przyszła refleksja: „Dziś nie podałem dalej tego wpisu. Szanuję wszystkich dziennikarzy, wiem, jak trudny i wymagający jest to zawód, i jestem otwarty na współpracę z każdym bez wyjątku”.

W otoczeniu prezydenta można dziś usłyszeć, że to już ostatni dzwonek, aby zbudować prezydencką drużynę. Nawet na Nowogrodzkiej słabość – jak mówi polityk PiS – intelektualna i polityczna prezydenckiego otoczenia jest dla obozu Zjednoczonej Prawicy sporym kłopotem. Łapiński miał największe doświadczenie polityczne, a po jego odejściu przy Krakowskim Przedmieściu zostali ludzie z ligi okręgowej. Ich spotkania to raczej organizacyjne i urzędowe rozmowy, a nie planowanie dalekosiężnych politycznych ruchów.

Na tym bezrybiu wyróżnia się Szczerski, szef gabinetu politycznego prezydenta. Po roku prezydentury miał z Dudą męską rozmowę i zdecydował się grać bardziej na niego, a nie na Nowogrodzką. Szczerski odbił gabinet polityczny z rąk Adama Kwiatkowskiego, który teraz zajmuje się kontaktami z Polonią i organizacją krajowych wyjazdów Dudy.

– *Dziś to Szczerski jest najsilniejszą figurą w otoczeniu Dudy, ale i on nie przerobił tylu politycznych schematów, które miał opadowane Łapiński, aby służyćzydentowi dobrą radą i zadbać o polityczny przekaz* – mówi polityk Zjednoczonej Prawicy.

To Szczerski zablokował Łapińskiemu możliwość towarzyszenia prezydentowi w zagranicznych podróżach. Dlatego – mówi osoba z Pałacu – nawet jak udało się coś prezydentowi przywieźć ►